

Baudouin de Courtenay Jan

KRZEWICIELE ZDZICZENIA

Artykuł ten przeznaczyłem pierwotnie do warszawskiego »Ogniwa«. Niestety, jak to mówią, Niemcy, robiłem rachunek bez karczmarza. Zapomniałem bowiem o zawodowych i urzędowych mordercach rytualnych wolnej myśli ludzkiej. Mnie samemu zdawało się, że w artykule niema nic gorszącego i obrażającego kogokolwiek bądź lub cokolwiek bądź; bystre jednak oko znawcy serc ludzkich wykryło całe ustępy niemożliwe ze stanowiska »bojaźni bożej« i nieposzlakowanej »prawomyślności«. Wskutek tego tylko początek mego artykułu mógł się ukazać w Nrze I-szym »Ogniwa« z r. 1881, chociaż i tu już wyrzucono dwa dość znaczne ustępy. Następnie pan cenzor usuwał nietylko wyrazy, wyrażenia i ustępy, ale nawet całe szpalty przeszło stuwierszowe. Nie ulega wątpliwości, że dzięki tym operacjom artykuł mój nabrał cech niewinności i »przyzwoitości«, obowiązującej, zdaniem cenzorów, każdego piszącego. Redakcja jednak nie mogła karmić czytelników resztkami i ochłapami, między którymi nie byłoby prawie żadnego związku; musiała więc, pod naciskiem siły wyższej (vis major), wstrzymać druk artykułu i zwrócić mi rękopis.

Nie pozostaje mi nic innego, jak z całej duszy podziękować p. cenzorowi za jego pieczołowitość i za jego usiłowania w przyuczaniu mię do szarego i bezbarwnego sposobu pisania. Ażeby zaś wiedziano i później, jacy to troskliwcy gospodarowali wszechwładnie w pewnej części Europy środkowej na początku wieku XX-go, postanowiłem wydrukować artykuł tam, dokąd już nie sięga ręka

miłych opiekunów. Przy tym wskazuję dokładnie i szczegółowo wszystkie miejsca i ustępy, wyrzucone przez cenzora.

Pragnąłbym »unieśmiertelnić« także imię mego troskliwego opiekuna. Nie czynię tego jednak, ponieważ najprzód to zacne imię tak jakby nie doszło do mej wiadomości, a powtórnie nie chciałbym obrażać skromności tego męża, która z pewnością dorównywa jego bezinteresownej dbałości o dobro publiczne. Tyle tylko pewna, że jestto cenzor z przekonania, cenzor z «bożej łaski».

A może dostojnik ten, jako przedstawiciel uprzywilejowanej »białej rasy«, zaliczył mię do »żółtych«, których należy dusić z taką samą bezwzględną, «rycerskością», z jaką jego współrasowcy pod względem sbiałości i grubości skóry urządzają pochody przeciw innym «rasom» we Wrześni, w Poznaniu, w Błagowieszczeńsku, w Afryce, w Krożach, w

Kiszyniewie, w Armenji, w Finlandji, w »Priwislinji«, w Chinach, na Filipinach, na Sumatrze, w Petersburgu i ...gdzie się zdarzy.

I.

Wymawiając lub też tylko uświadamiając sobie wyraz zdziczenie, myślimy oczywiście, że coś nie-dzikiego staje się dzikim. Ja jednak biorę tu ten wyraz w nieco obszerniejszym znaczeniu, kojarząc go nietylko z przejściem ze stanu nie-dzikości do stanu dzikości, ale także ze zwiększaniem i potężnieniem już istniejącej dzikości. Tak więc krzewi zdziczenie nietylko ten, kto człowieka nie-dzikiego przeobraża w dzikiego, ale także ten, kto współdziała

rozrastaniu się i utrwalaniu się istniejących już zarodków lub objawów dzikości. Co to jest jednak dzikość w różnicy od nie-dzikości? Spróbujmy odpowiedzieć na to pytanie. W swych »Myślach nieoportunistycznych« (Kraków,

) umieściłem między innymi następujący aforyzm (Nr.): „Jeśli istnieje rzeczywisty postęp w życiu ludzkości, to czy nie dałoby się ująć go w formule, że jest on powolnym przejściem od stanu stadowego-egoistycznego do stanu społeczno-indywidualnego?»

W formule tej zawiera się, zdaniem moim, także częściowe określenie stopniowego

zmniejszania się dzikości, jakie daje się zauważyć w dziejach
doskonalącego się rodu
ludzkiego. Egoizm w swych grubych, brutalnych objawach
jest czynnikiem stanowczo
antysocjalnym czyli przeciw-społecznym. Życie stadowe, czy
to całkiem luźne, czy to nawet
choćby zorganizowane, uniemożliwia a przynajmniej nader
utrudnia rozwój indywidualny
jednostek. Jedynie tylko prawdziwy indywidualizm, jako
coraz bardziej uświadamiający się
rozwój wewnętrzny osobników, rozwój, połączony z
krytyczną oceną i zrozumieniem
stosunku własnego ja do innych osobników, jedynie tylko
prawdziwy indywidualizm daje się
pogodzić z wszechstronnym życiem społecznym, nie-
stadowym. Społeczeństwem, w tym
wyższym znaczeniu tego wyrazu, możemy nazwać tylko
stowarzyszenie, albo dobrowolne,
albo też, chociaż niezależne od woli jednostek, to jednak
sprowadzające despotyzm
większości w sferze wierzeń i przekonań do możliwego
minimum, a natomiast znajdujące w
pracy wspólnej czyli w kooperacji prawdziwą rękojmię
stworzenia maximum dobrobytu tak dla
ogółu, jak i dla pojedynczych członków.
Stadowość społeczna czyli stado zamiast

społeczeństwa, oraz kierowanie się jednostek pobudkami
czysto egoistycznymi na krótką
metę charakteryzują stan dzikości; w miarę zaś oddalania się
od tego stanu dzikości powstaje

prawdziwa społeczność ludzka czyli uświadomienie społeczne, a jednocześnie potężniejsza indywidualność. W każdym razie tak się ma dzikość do niedzikości, jak się ma stado do społeczeństwa, lub też jak osobnik impulsywnie egoistyczny do osobnika indywidualnie wyrobionego.

Znamy gromady ludzkie, żyjące wyłącznie życiem stadowym, bez uświadomienia

społecznego. Znamy również, nawet w społeczeństwach częściowo uświadomionych, osobniki bezwzględnie dzikie, t. j. kierujące się tylko chwilowymi bodźcami egoistycznymi.

Niema zaś i dotychczas nigdzie nie było gromad ludzkich, żyjących jedynie uświadomionym życiem społecznym, z zupełnym usunięciem dzikości; niema również, nawet w

społeczeństwach najbardziej „ucywilizowanych” czyli najmniej dzikich, osobników nieskazitelnie wyindywidualizowanych i etycznie uświadomionych, t. j. nie mogących w pewnych warunkach stać się dzikimi.

Nawet w społeczeństwach najnowszej formacji, w społeczeństwach niby to najbardziej

oddalonych od stanu dzikości, istnieją stale i nieprzerwanie instytucje, korporacje i zwyczaje, zniekształcające dzikością i barbarzyństwem, zniżające ludzkość do stanu przedczłowieczego (jeżeli „człowieczeństwo” i „ludzkość” weźmiemy chwilowo w szlachetnym znaczeniu tych

wyrazów).- W każdym zaś człowieku, choćby nawet najwyżej posuniętym pod względem umysłowym i moralnym, drzemią dzikie instynkta, które przy sprzyjających okolicznościach wybuchają z niepohamowaną siłą i sprowadzają „śmietankę” inteligencji i „pana stworzenia” do stanu wściekłej bestji dwunogiej. Do rzędu osobników bezwzględnie dzikich, t. j. kierujących się jedynie przemijającymi lub też od czasu do czasu, mniej więcej perjodycznie powracającymi pobudkami egoistycznymi, należą przede wszystkim „typy okrutne i krwiożercze”, których charakterystyką zajmuje się p. L. Krzywicki w kilku ostatnich numerach „Ogniwa” z r. . Dalej należą tu: ludzie, uznani urzędowo za obłąkanych, oraz wszelkiego rodzaju zwyrodnialcy i gniłosze, chociażby nawet podniesieni do rangi „nadludzi”. Kadry tej ostatniej kategorii bywają zasilane także przez tych artystów i poetów, u których wyuzdany impresjonizm i wybuchowość stanowią główne motywy tworzenia.

Dzikość częściowa może być właściwą nawet indywiduum, stojącym bardzo wysoko pod względem umysłowym, kulturalnym i etycznym. Tak np. idzie ona w parze z niekonsekwencją, z brakiem poczucia, że się jest obowiązany wyciągać wnioski praktyczne ze swych przekonań teoretycznych, że w tej przede wszystkim sferze noblesse oblige. Cechą

niezbędną nie-dzikości jest tu zgodność ze sobą, jest całkowitość i jednolitość natury, jest zgodność postępowania z przekonaniem. Uczony, choćby nawet o najpotężniejszej umysłowości, jeżeli jednocześnie jest szowinistą i bierze udział w prześladowaniu i tępieniu kogokolwiek bądź, musi być uważany za dzikiego. Dzikość społeczeństwa podtrzymują wszelkie instytucje, dążące do krwi przelewu, do rozbudzania nienawiści, instytucje, oparte na obłędzie wielkości i na obłędzie prześladowczym, instytucje, które postawiły sobie za zadanie tłumienie i zabijanie indywidualności, zawodowe i uroczyste wykonywanie zemsty, pozbawianie życia i wolności/ Jeszcze nie tak dawno my, „cywilizowani Europejczycy”, paliliśmy czarownice, torturowaliśmy legalnie, a dziś ze zdwojoną siłą prześladowujemy ludzi tak za ich przekonania,

jakoteż za ich pochodzenie, za ich przynależność do tej lub owej narodowości, do tego lub owego wyznania. Czyż to nie dzikość i „dzikość” we wszelkich znaczeniach tego wyrazu *).

W historii stopniowego przechodzenia gromad ludzkich od stanu dzikości do względnej niedzikosci możemy rozróżnić trzy główne fazy rozwoju:
) Dzikość bezwzględna, bez żadnej organizacji, bez żadnej tresury, a co najwyżej bandy chwilowo formowane i luźne stada bestji dwunogich.

) Dzikość uorganizowana, gdzie jeden chwyta innych za łeb, a inni mu się poddają. Pewne masy ludzkie zastygły w tym stanie; są to tłumy, dla których jedynym hamulcem jest strach i kara, czy to w obecnym, czy też w przyszłym życiu, tłumy, wyobrażające ze siebie trzodę z pastuchem.

) Na tle dzikości uorganizowanej powstają tu i ówdzie wolne i dobrowolne związki, związki, oparte na spotężnieniu indywidualizmu jednostek, na ulogicznieniu myślenia, idącego ręką w rękę ze wzrostem poczucia

*) Ustęp ten, od «Jeszcze nie tak dawno» do »tego wyrazu« - został wyrzucony przez cenzora.

sprawiedliwości, oraz na uświadomieniu rozumnego stosunku jednostki do grupy społecznej.

W pierwszej dobie rozwoju, w stanie dzikości bezwzględnej technika i przemysł mogą się rozwijać tylko zarodkowo. Natomiast w fazie dzikości uorganizowanej technika, przemysł i wogóle wytwórczość ekonomiczna mogą dochodzić w coraz szybszym tempie do najwyższego stopnia doskonałości, a pomimo to, skierowując się w stronę gnębienia, tłumienia, tępienia, podtrzymywania niesprawiedliwości społecznej oraz nienawiści międzyplemiennej i międzywyznaniowej, godzić się wyśmienicie z dzikością myślenia i woli.

*) Jeżeli najnowsze środki komunikacji służą do ułatwiania „pielgrzymek” bałwochwalczych, jeżeli najnowsze metody szkolne bywają zużytkowywane do ubierania całych gromad ludzkich w jednostajny mundur stadowych wierzeń i „przekonań”, toć jestto chyba nadużywanie techniki i wynalazków w celu podtrzymywania dzikości. *)

Nieda się zaprzeczyć, że i w tej sferze, w sferze najbardziej zaniedbanej i pozostającej gdzieś

*) Ustęp ten, od „Jeżeli najnowsze środki komunikacji” do „podtrzymywania dzikości”, cenzor wyrzucił.

daleko w tyle poza rozwojem techniki, to jest w sferze myślenia i etyki, ludzkość postępuje, ale postęp ten odbywa się gzygzakami: zrobiwszy dwa kroki naprzód, cofamy się na jeden krok w tył*).

*) Tyle tylko wydrukowano w „Ogniwie” (Nr. . zr.). Następnie złożono dosyć dużo, ale wykreślenia cenzorskie uniemożliwiły drukowanie.

II.

Zupełne usunięcie dzikości myśli i woli jest rzeczą niemożliwą, choćby po prostu ze względu na nasze pochodzenie. Jesteśmy dalszym ogniwem przodków dzikich, urządzeń dzikich,

wierzeń dzikich. W naszych organizmach fizjologicznych i duchowych tkwią i tkwić muszą, w najdalszych pokoleniach, przeżytki dzikości przodków. Przeżytki te, choćby nawet sprowadzone do stanu zaniku, do minimum, tleją w nas jak zarzewie, które, rozdmuchane w odpowiedni sposób, może stać się zarodkiem nowego płomienia.

Przodek ludojad mordował „bliźnich” dla nasycenia głodu, a sam akt zarzynania lub też duszenia sprawiał mu rozkosz realną, rozkosz człowieka, dochodzącego do celu. Potomek ludojada nasycy głód w inny sposób, ale pomimo to dziedziczy on żądzę krwi i mordy, a sam akt pociągania nożem po cudzym gardle lub też dręczenia w jakikolwiek sposób, sama „sztuka dla sztuki”, „ofiara dla ofiary”, może w nim wzbudzać rozkoszne dreszcze kanibala. Człowiek taki staje się albo

nie uznanym przez „prawo” mordercą i dusicielem, albo też dobrowolnym katem, a choćby tylko mężem, podpisującym legalnie wyroki śmierci. Kto zaś ani nie ścina, ani nie wiesza własnoręcznie, ani nie podpisuje wyroków śmierci, ten rozkoszuje się prześladowaniem i gnębieniem ludzi innego „stanu”, ludzi, należących do innych narodowości, do innych „wyznań”, ludzi innych „przekonań”, wogóle ludzi inaczej wyglądających, inaczej

mówiących i inaczej „myślących”, co oczywiście stanowi zmodyfikowaną i złagodzoną formę dziedzictwa psychicznego po ludojadach. Przodek mięsożerny musiał, dla zaspokojenia głodu, własnoręcznie zarzynać i ćwiartować pożerane zwierzę, a uczucie zaspakajania głodu łączyło się oczywiście z błogim uczuciem osiągnięcia celu realnego, a więc z uczuciem niezmiernie przyjemnym. To uczucie przyjemności, doświadczanej przez przodka podczas aktu mordowania zwierząt, przeznaczonych na pożarcie, może drogą dziedziczności przechodzić do najpóźniejszych potomków, którzy, podbudzani przez nie, stają się zawodowymi rzeźnikami, oprawcami, a w najlepszym razie dręczycielami zwierząt. Również w „szlachetnych sportach” myśliwstwa

i rybołówstwa amatorskiego znajduje sobie ujście odziedziczona po przodkach krwiożerczość i żądza znęcania się. Odkrycie ognia i możliwości wydobywania go przez tarcie o siebie twardych szczap drzewa było olbrzymim wypadkiem, napełniającym dusze naszych „dzikich” przodków nieopisaną rozkoszą i wdzięcznością dla „boga Ognia”. Dzisiejszy piroman, czyli podpalacz z popędów wrodzonych, odziedziczył po przodkach ów rozkoszny dreszcz, choć w życiu brak dla niego podstaw realnych. Jeden z profesorów uniwersytetu warszawskiego, dziś już nie żyjący M.

K., przyznał mi się, że gdyby nie hamulec wykształcenia i bojaźni kary, namiętnieby podpałał; widok bowiem pożaru napawał go niewysłowioną rozkoszą.

W pierwocinach uspołecznienia członkowie męscy hord uorganizowanych mogli zawładnąć kobietami przeważnie tylko za pomocą gwałtu, którego wyobrażenie kojarzyło się z wyobrażeniem pewnego rodzaju rozkoszy. Dziedziczeniem uczuć i wzruszeń w kierunku jednorodności płciowej należy objaśniać ten fakt, że nawet w sferze inteligentnej spotykamy tylu gwałcicieli i znęcających się z amatorstwa nad „płcią słabszą”. Podobnie, przyjmując taką samą dziedi-

czność w kierunku jednorodności płciowej, zrozumiemy, dlaczego pewne indywidua płci żeńskiej, pomimo zasadniczego oburzenia i wstrętu do gwałcicieli, doznają jednak pewnej dzikiej przyjemności, ulegając gwałtowi i poniewierce.*) Wdzisiejszym „kleptomanie”, z nieprzewyciężonym popędem do „przywłaszczania” sobie „cudzej własności”, jako w jednym z ogniw w szeregu dziedziczonych a potęgujących się od czasu do czasu objawów psychiki człowieka „dzikiego”, powtarzają się po prostu wzruszenia i dreszcze, których doznawał jego przodek, kładący za pomocą „rabunku” i „zaboru” pierwsze podwaliny „świętej instytucji własności”.

A zresztą czyż i dziś niema już zgłodniałych, czyż niema „wydziedziczonych”, czyż niema obok nas naszych własnych przodków? Co więcej, czyż nawet my sami, wzniesieni na „wyższy szczebel” moralności i inteligencji, gdyby nas pozbawiono warunków, umożliwiających „szlachetność” uczuć i „głębokość” myśli, gdyby nas zdegradowano do stanowiska parjasów społecznych, czyż w takich warunkach nie stalibyśmy się własnymi

*) Od tego miejsca wykreślił cenzor.

przodkami, kładącymi podwaliny własności, zawziętymi na życie i mienie „bliźnich”? Zróbmy doświadczenie. Wybierzmy kilku wykwinnych hrabiów i królewiatek, miotających gromy na „przewrotowców” i patrzących z pogardą na motłoch „dziki”, bo zgłodniały i pozbawiony chleba powszedniego oświaty i cywilizacji, umieścimy tych paniczów na bezludnej wyspie, lub też puścimy ich na morze, a bądźmy pewni, że wykwintnisie ci, bez innych środków żywności, zaczną pożerać się wzajemnie, t. j. robić zamachy już nie na własność, ale na życie „bliźniego”. W ogóle praktykowanie „miłości bliźniego”, t. j., mówiąc językiem mniej podniosłym, a bardziej zgodnym z rzeczywistością, dobrowolne nie-krzywdzenie innych ludzi, możliwe jest tylko przy jako tako sytym żołądku i przy dachu nad

głową.

*

Jedną z głównych cech dzikości w sferze intelektualnej jest mieszanie pojęć, gdy tymczasem wyjściu ze stanu dzikości towarzyszy rozróżnianie pojęć, myślenie świadome, myślenie krytyczne, myślenie analityczne. Otóż owi hrabiowie i królewęża, uważając siebie za wybrańców ludzkości, mieszają po-

jęcia; zdaje im się bowiem, iż są oni z natury „piękni”, wytworni, szlachetni, rozumni i t. d. i t. d. Niestety, są oni tym wszystkim (jeżeli są w istocie i jeżeli nie łudzą się co do swej doskonałości) tylko dzięki wyjątkowemu uprzywilejowaniu. Odejmiemy im owe wyjątkowo pomyślne warunki, a staną się może jeszcze bardziej dzikimi, aniżeli jednostki, należące do pogardzonego przez nich „motłochu”. Co więcej, nawet obecnie, nawet w swej niby wyższości moralnej i umysłowej, popełniając dopiero co wskazane pomieszanie pojęć, panowie ci są choćby z tego stanowiska dzikimi w najprostszym znaczeniu tego wyrazu. W związku z pomieszaniem pojęć, cechującym stan dzikości pod względem umysłowym, pozostaje odwracanie oczu od interesów realnych, od interesów ekonomicznych, pozostaje „walka za idee”, za „wyznania”, za narodowości, za alfabety, za lilipucie rozbijanie jajka, czy

to z grubszego, czy też z cieńszego końca, pozostaje barbarzyństwo i wandalizm, tępiący inne alfabety, inne literatury, inne języki, inne wyznania, innych bogów miejscowych.*)

*) Te siedem ustępów, od „W dzisiejszym kleptomanie” do „innych bogów miejscowych” wykreślił cenzor.

III

Chociaż postęp umysłowo-obyczajowy czyli intelektualnie-etyczny wygląda nader mizernie w porównaniu z postępem techniki i sztuki, to jednak przyznać musimy, że postęp ten ma miejsce. A rozróżniamy w nim dwie strony, rozwijające się w ścisłej od siebie zależności:

-) stronę intelektualną, czysto umysłową;
-) stronę moralną, etyczną.

Postęp intelektualny polega przede wszystkim na stopniowym przechodzeniu od pomieszania pojęć do ich rozróżniania. Postęp zaś moralny, doskonalenie się etyki jest równoznaczne z potężnieniem altruizmu i uczuć społecznych, a to potężnienie altruizmu idzie ręką w rękę z coraz większą indywidualizacją duchową osobników.

W związku ze wzrostem zdolności myślenia logicznego, w związku ze wzrostem zdolności porównywania i wnioskowania potężnieje także poczucie sprawiedliwości i współczucia dla sobie podobnych. Ból obcy, obce cierpienie przenosi się na swoją własną oso-

bistość, a to przeciwdziałała świadomemu sprawianiu bólu i zadawaniu cierpień. Na takim gruncie powstają i rozwijają się nowe ideały, czerpiące soki z uznania praw człowieka, z poszanowania dla godności ludzkiej. Ale urzeczywistnianiu tych ideałów stają na przeszkodzie dzikie instynkta, odziedziczone po przodkach, a podtrzymywane i rozniecane przez wpływ otoczenia i złowrogich warunków. Nawet człowiek, stojący na najwyższym szczeblu w rozwoju umysłowym i moralnym, może, pod działaniem pewnych czynników fizjologicznych lub też pod wpływem imaginacji, wpaść w pewien „nastrój” dziki i krwiożerczy, a w ten sposób stanąć w tragicznej kolizji z samym sobą. Boć przecie niezgodność popędów i dążeń mimowolnych z światopoglądem jednostki i z jej przekonaniami stwarza dla niej położenie prawdziwie tragiczne. Kto więc pragnie zmniejszenia tego tragizmu, kto pragnie oszczędzać sobie i innym cierpień, mogących być usuniętymi, ten powinien dążyć albo do robienia ludzi bydłętami, nie zdającymi sobie sprawy z tego, co czynią, albo też*) do jak najpotężniejszego uświado-

*) Wyrazy, wydrukowane tu kursywą, cenzor wykreślił.

mienia, do jak największego postępu świadomości, do pełnego rozkwitu myślenia logicznego i poczucia sprawiedliwości, a to w tak silnym stopniu, ażeby te wyższe czynniki psychiczne były w stanie przeciwdziałać ślepych instynktom i popędom. Jest to ideał może niedościgniony, ale dążyć do niego jest obowiązkiem każdego człowieka logicznie myślącego i sprawiedliwego.

W życiu każdego człowieka występuje w pewnych chwilach to jeden, to drugi element: to refleksja i rozum, to znowu dzikość instynktywna. Życie spokojne i bez troski, zadowolenie najpierwszych potrzeb fizjologicznych, rozmyślanie naukowe, analityczne, wolność od prześladowań i od brania udziału w prześladowaniach *),wszystko to sprzyja przewadze po stronie rozumu i sprawiedliwości. A podobnie jak sen zwykły, podobnie jak upojenie spirytusem lub t. p., tak też wszelkie przyćmienie umysłu tym lub owym afektem, trwałym lub przemijającym, albo też jego (t. j. umysłu) względna słabość w stosunku do popędów żywiołowych, usposabia do objawów dzikości, zwanej fanatyzmem,

*) Wyrazy te, wydrukowane kursywą, cenzor wykreślił.

szaleństwem religijnym, patryjotyzmem przeczulonym czyli szowinizmem, erotyzmem, krwiożerczością, wojowniczością i t. d. i t. d.

A znowu podobnie jak obłąkany, który uzna, że jest obłąkanym, znajduje się na drodze ku wyzdrowieniu, tak też pierwszym krokiem do wyjścia ze stanu dzikości jest uznanie, że się w tym stanie znajdujemy. Ja też uznaję to, a prawdopodobnie znajdzie się pewna, choć nieliczna, grupa ludzi, którzy się ze mną zgodzą. Uznawszy, iż jesteśmy jeszcze pogrążeni w dzikości, idziemy dalej i twierdzimy, że ową dzikość, owo zdziczenie krzewi każdy, kto potęguje w nas instynkta i porywy żywiołowe, pozostające w kolizji z rozumem i z poczuciem sprawiedliwości, i kto wydoskonala dla nich ich bezpośrednie przewodniki, t. j. drogi nerwowe naszego organizmu.

A więc, przy dziś panujących poglądach i ideałach, krzewi dzikość przede wszystkim ten, kto podtrzymuje nędzę społeczną, kto utrwała i kodyfikuje nierówność społeczną, kto stawia przeszkody równouprawnieniu płci, „stanów”, zawodów, wyznań i narodowości*).

W sferze życia indywidualnego i rodzinnego, a przez nie także społecznego, skute-

*) Wyrazy „wyznań i narodowości” cenzor wykreślił.

cznymi czynnikami zdziczenia bywają dosyć często tak zwane „małżeństwa z miłości”, a właściwie z głupoty, t. j. małżeństwa, zawierane bez względu na stan zdrowia, usposobienie,

charakter, położenie społeczne i wydajność ekonomiczną małżonków. Takie bezmyślnie kojarzone stadła stwarzają zwykle „dzikie” otoczenie tak dla założycieli „gniazdka rodzinnego”, jakoteż dla wylętych w nim piskląt. Do podtrzymywania, a nawet do zwiększania dzikości mogą prowadzić nawet instytucje, których sama nazwa wskazuje, iż powinny one nie krzewić, ale przeciwnie usuwać i tępić dzikość umysłu i uczuć.*) Będę prawdopodobnie oskarżony o herezję przez czcicieli oświaty obowiązkowej i wywołam w nich zgrozę, ale pomimo to pozwolę sobie twierdzić, że szkoła obowiązkowa i państwowa występuje jako jeden z najwstrętniejszych sprzymierzeńców zdziczenia, jeżeli jej konsekwencje doprowadzają do Wrześni i Gniezna. Ale nawet bez obowiązkowości, dzięki pewnym metodom wychowawczym, — pedagogicznym i dydaktycznym, — możemy uważać

*) Od tego miejsca trzy następujące ustępy cenzor wykreślił.

szkołę za krzewicielkę zdziczenia. Taką musi być szkoła z różgą, z biciem po twarzy, z biciem linją po rękach, z systemem straszenia, podglądania, donosicielstwa i t. d. Taką też musi być szkoła, która za pomocą odpowiednio spreparowanych podręczników „religji”, historii, geografii, literatury, gramatyki itd. podtrzymuje i rozwija z jednej strony

pomięszanie pojęć i chaotyczność myślenia, z drugiej zaś „nastrój” krwiożerczy i żądny ofiar ludzkich, w związku z nienawiścią międzynarodową, międzyplemienną, międzywyznaniową i międzystanową.

Taką też rolę krzewicielek zdziczenia mogą odgrywać instytucje, stojące na jeszcze wyższym szczeblu umysłowo-społecznym, aniżeli szkoła, mianowicie z jednej strony stowarzyszenia ekonomiczne, mające na celu wytwórczość i uspołecznienie pracy, jeżeli kierują się przytym względami na przynależność wyznaniową lub narodową członków, z drugiej zaś strony najwyższe instytucje naukowe danego kraju lub państwa. Świeżo założona akademja w Poznaniu musi krzewić zdziczenie, ponieważ przedewszystkim, jako instytucja antyspołeczna, podżega nienawiść między mieszkańcami tej samej ziemi i ma na celu tłumienie życia umysłowego jednego z narodów

miejscowych, a następnie, jako instytucja antyindywidualna, zabija indywidualność tego samego narodu, podsyca „egoizm narodowy” niemiecki w ogóle, a egoizm każdego Niemca w szczególności, w związku z czym pozostaje wzmocnienie nie uspołecznienia w wyższym stylu, ale tylko prostej stadowości niemieckiej.*) Rozprzestrzenianie „kultury” europejskiej w krajach „dzikich” równa się znęcaniu się dzikich Europejczyków nad tubylcami innych „części świata”.

Jedną z tak mocno i słusznie sławionych „zdobyczy wieku XIX-go”, będącą w każdym razie doniosłym objawem uspołecznienia uorganizowanych państwowo gromad ludzkich, mianowicie parlamentaryzm zachodnio-europejski, w pewnych chwilach swego urzeczywistniania daje pole do popisu wybuchom rozkiełznanej namiętności i sprzyja Wzrostowi zdziczenia, t. j. pomieszania pojęć, i zanikowi poczucia tego, co godziwe, a co niegodziwe. Ale nawet to, co się sprzedaje i nabywa pod etykietą nauki, może ogłupiać mózgownice i spóldziałać dziczeniu natur ludzkich.

*) Trzy powyższe ustępy, od „Będę prawdopodobnie oskarżony o herezję” do „ale tylko prostej stadowości niemieckiej”, cenzor wykreślił.

Wiedza impresjonistyczna, wchłanianie w siebie wiadomości drobiazgowych oraz wszelkiego rodzaju plotek uniwersalno-historycznych, wogóle zaspakajanie próżnej ciekawości i zapychanie głowy, bez należytego oświetlenia, bez rozbioru, bez krytyki, bez rozróżniania pojęć, nie zmniejsza wcale dzikości tradycyjnej, ale nawet czyni ludzi jeszcze bardziej pochopnymi do przejawiania tej dzikości w najrozmaitszych kierunkach. Wprost zaś do zdziczenia, t. j. do zaćmienia umysłów i do spotęgowania wybuchowości żywiołowej

prowadzi znaczna część codziennej strawy umysłowej
czytelników gazet i wogóle
publicystyki.

Nareszcie pewnego rodzaju literatura, poezja i sztuka działają
jak opjum i haszysz, upajają,
wprawiają umysły w stan, graniczący z szałem i snem
niespokojnym, krzewiąc przez to samo
dzikość, a w najlepszym razie dzikość wysubtelnioną.

Zwłaszcza pewien odłam
powieściopisarstwa odgrywa rolę niepośledniego czynnika w
procesie podtrzymywania i
utrwalania dzikości.

Kto choć trochę obserwował ludzi i zastanawiał się nad ich
naturą, ten wie, że niepodobna
oddzielać bez zająknięcia się kozłów od baranów,
przestępców od cnotliwych, głu-

pców od rozumnych itd. W każdym prawie człowieku drzemie
głupiec, szaleniec i zbrodniarz,
a do ich obudzenia się potrzebne są tylko odpowiednie
warunki. Im dany osobnik jest naturą
bardziej bogatą, złożoną i wielostronną, tym łatwiej mogą się
w nim łączyć pierwiastki z
pozoru całkiem odmienne, jak np. zbrodniczość z wysokim
talentem artystycznym. O zgodzie
tych pierwiastków trudno mówić; zwykle bowiem jeden z nich
przeważa i przyćmiewa drugi.

Wiadomo jednak, że tak zwani uomini deliquenti, to jest
zbrodniarze z urodzenia, pisują
niekiedy natchnione poezje, kreślą obrazy, nacechowane
płomienną fantazją i wogóle

zasługują na uwagę estetyków i historyków literatury. Jeden z „potworów moralnych” drugiej połowy w. XVIII-go, markiz Sade, ogłaszał powieści, wprawdzie jednostronnie lubieżne i okrutne, ale zawsze powieści, które czytelnik połyka z wielkim zaciekawieniem.

Nie tak dawno słynny pisarz angielski Oskar Wilde (dziś już nie żyjący) został skazany na kilka lat ciężkich robót za krzyżące „występki” przeciw tak zwanej*) „moralności”.

Dostojewski, jeden z najgienialniejszych po-

*) Wyrazy, wydrukowane tu kursywą, cenzor wykreślił.

wieściopisarzy-psychologów, odznaczał się siernięznymi cechami fizycznymi, przypominającymi przestępcę z urodzenia, a nawet*), według własnego wyznania, był z natury okrutnikiem i lubieżnikiem. Nie mógł on widzieć kobiety bez pożądania jej. Kreśląc niepospolite charakterystyki swych bohaterów psychopatycznie zwyrodniałych, czuł się w swoim żywiole. To też, jak to wykazały niektóre procesy kryminalne, jego „Prestuplenie nakazane” stanowi ulubioną lekturę morderców inteligentnych i półinteligentnych. Powieść tę studjował ów młodzieniec na wpół wykształcony, który parę lat temu w Petersburgu zamordował w okrutny sposób kilkoletniego chłopczyka. W tę też powieść zagłębiali się

zabójcy Tomaszewskiego, a w pewnych, zapewne nielicznych, kółkach młodzieży (np. w Petersburgu), zwłaszcza młodzieży rozestetyzowanej i rozdekadencionej, wentyluje się poważnie kwestja, czy nie jest obowiązkiem ludzi przyzwoitych wyprawiać na tamten świat „darmozjadów” lichwiarzy i inne „szkodliwe jednostki”. Jak kamerton potęguje właściwy sobie ton, wydany przez strunę instrumentu muzycznego,

*) Wyrazy, wydrukowane tu kursywa, cenzor wykreślił.

tak też dusze, odpowiednio nastrojone, brzmią unisono z „Prestuplenjem i nakazaniem”. Głośny dziś Leonid Andrejew lubuje się poprostu w wytwarzaniu nastroju ponurego, lubieżnego i krwiożerczego, a że temu „nastrojowi” towarzyszy „pesymizm filozoficzny”, to już nie zmienia faktu źródła psychicznego, z którego płyną podobne utwory. Niekiedy od „literatury nadobnej” otrzymuje się wrażenie, jak gdyby dane społeczeństwo było stadem zuchwałych samców i rozwydrzonych samic. Ten odłam beletrystyki, odłam samczo-samiczy, kwitnie i bujnie się rozwija chyba u wszystkich „narodów cywilizowanych”. Polacy wcale tu innym nie ustępują; przeciwnie zajmują chlubnie jedno z miejsc w pierwszym szeregu. A niesprawiedliwością byłoby tu obwiniać tak zwany „realizm” i

„naturalizm" w powieści. Przed realizmem i naturalizmem od najdawniejszych czasów ciągnie się przez utwory literatury nadobnej silnie tętniący nerw wizji, podniecających zmysłowość w sferze stosunków międzypłciowych. Nie omylę się chyba, twierdząc, że na niejednego z przedstawicieli starszego pokolenia w ich młodych latach działał w ten sposób niekiedy nawet niewinny Kraszewski

wraz z całym gronem współczesnych mu powieściopisarzy. Nie da się jednak zaprzeczyć, że żywioł erotyczny uległ skondensowaniu w ostatnich lat dziesiątkach.

Pod wpływem „Nany" Zoli i innych pokrewnych jej utworów zjawiał się i w literaturze polskiej cały zastęp „nanistów" i „nanistek", w tej liczbie także „szanownych matron" i „dziewoi uroczych", rozkoszujących się malowaniem lub przynajmniej robieniem bardzo przezroczystych aluzji do scen drastycznych, do scen „flirtu" daleko posuniętego, bo scen uwodzenia i nawet ... gwałcenia. Ileż to razy, przy czytaniu tych „niewieścich utworów", muskających dziedzinę pornografji, brała chęćka zapytać, czy szanowna autorka zna opisywane „nastroje" i działania czynne i bierne z własnego doświadczenia, czy też je tylko „odczuwa" potęgą swej wyobraźni. A były w tym zastępie nie same tylko „realistki" i „naturalistki". Jedne z pierwszych

skrzypiec trzymała pewna „dziewica litewska”, bardzo idealna, bardzo pobożna i oczywiście postępująca według pożytecznej recepty: „i Bogu świeczka, i djabłu ożóg”.

Bądź jak bądź, mieliśmy i „klasycyzm” sam-

czo-samiczy, i „romantyzm” samczo-samiczy, i „realizm” samczo samiczy, i „naturalizm” samczo-samiczy, i „symbolizm” samczo-samiczy, i „modernizm” samczo-samiczy, i „dekadentyzm” samczo-samiczy i prosto wszeteczeński. A nawet wielki kaznodzieja przeciwko „ruji i porubstwu”, ów mistrz słowa, którego utwory rozchodzą się tysiącami na obu półkulach, ileż to razy skierowuje wyobraźnię czytelnika w sfery, bardzo blisko graniczące, jeżeli nie identyczne, z „rują i porubstwem”, t. j. z erotyzmem i z okrucieństwami bestji dwunogich! Tak to kocioł garnkowi przygania, a sam smoli. Nasi najnowsi, między którymi są niewątpliwie pierwszorzędne talenta, idą również utartymi drogami i unoszą się na skrzydłach wyobraźni do jaskiń, pozbawionych światła rozumu, pogrążonych w pomroce snu psychicznego, a za to rozbrzmiewających wyciem i jękiem gwałcicieli i gwałconych, tępicielei i tępionych.*)

*) Tyle tylko próbowano składać dla »Ogniwa«; dalszy ciąg, wobec nieubłaganego pastwienia się cenzora, pozostał jedynie w rękopisie.

IV

Do napisania tego artykułu wzięłem pochop ze wspaniałej i porywającej powieści Żeromskiego, »Popioły», kawałkowanej od dość dawnego czasu na szpaltach »Tygodnika ilustrowanego* *). Niektóre z ostatnich numerów »Tygodnika», jako też niektóre dawniejsze zawierają ze wzmiankowanej powieści jedynie tylko sceny i obrazy, przeładowane zbyt jaskrawymi wybuchami miłości »rycerskiej» i zgęszczonym urzeczywistnieniem reklamowanego przepisu: »kochaj bliźniego swego, jak siebie samego». Ale nie chciałbym być posądzonym o »zamach na wolność sztuki», i dla tego zacznę od rozpamiętywań ogólniejszego charakteru. Różne są sposoby dochodzenia do »prawdy», różne są sposoby poznawania tego, co się działo w świecie psychiczno-społecznym. Poznajemy »rzeczywistość historyczną», przeżywając ją i biorąc w niej bezpośredni udział.

*) Pisałem to w ostatnich tygodniach r. .

Poznajemy ją również z suchych, kronikarskich opisów, będących bezbarwnym protokółowaniem tego, co się działo. Takie opisy dostarczają materiału dla dwóch innych sposobów dochodzenia do prawdy historycznej, stanowiących zadanie, z jednej strony,

uczonego-myśliciela, z drugiej zaś artysty-poety. Artysta ujmuje prawdę historyczną w obrazach najcharakterystyczniejszych; uczony przedstawia tę samą prawdę w abstrakcjach naukowych.

Jeżeli mowa o Żeromskim, to rzecz prosta, iż mamy tu do czynienia z prawdą, artystycznie odtwarzaną. Przed nami pierwszorzędnny mistrz, który rzeczywistość zagasłą odczuwa i odgaduje, który wskrzesza „popioły”, który domacał się tętna życia epok minionych, który z nieporównaną siłą wznieca w nas uczucia, miotające duszami jego bohaterów, a kilku pociągnięciami pióra unaocznia prądy społeczne, nurtujące w głębiach życia pokoleń, które oddawna zstąpiły do grobu.

A kto to wszystko potrafi, musi być pierwszorzędnym artystą. Zdawałoby się zaś, że im większy artysta, tym większa jego odpowiedzialność ... przed społeczeństwem. Zgadza się też na zdanie, iż Żeromski jest może najbardziej społecznym spośród wszystkich

młodszych pisarzy polskich. Pamiętajmy jednak, że artysta, właśnie jako artysta, jako porywany niepohamowanym rozpędem tworzenia, — chociażby był jak najbardziej „społecznym” — zna tylko jedną jedyną odpowiedzialność, odpowiedzialność estetyczną.

Lew Tołstoj wypowiedział zdanie, że gienjalni wodzowie są wielką klęską ludzkości. Porwani

pędem swego gienjuszu militarnego, idą wciąż naprzód, na nic się nie oglądając, druzgocąc wszystko, co spotykają, niwecząc tysiące egzystencji ludzkich, podkopując dobrobyt, powstrzymując i cofając rozwój umysłowy i moralny. Ośmielam się twierdzić, że gienjusz artystyczny może również wyrządzać szkody i spustoszenia, chociaż oczywiście w nierównie mniejszym stopniu, aniżeli gienjusz militarny. „Tlejący w piersiach artystów ogień twórczy” może ich zaślepić na wszystkie inne potrzeby, na wszystkie inne strony życia psychiczno-społecznego. Hypnotyzowanie się obrazowaniem artystycznym pociąga za sobą bezwzględną jednostronność i niepoczytalność danego osobnika pod wszelkimi innymi względami. Artyzm porywa i ubezwzględnia twórcę, ubezwładniając jednocześnie jego krytycyzm w sferze myślenia logicznego i etyki. Przy pewnej dozie zboczenia moral-

nego otrzymujemy wtedy „artystę” Nerona, lubującego się pięknym widokiem pożaru, otrzymujemy manjaka i szaleńca, którego coś pcha do podłożenia lontu pod skład prochu; myśli on bowiem tylko o oczekiwanym wspaniałym widowisku, nie pytając wcale o skutki z innej sfery wyobrażeń. Podobnie jak człowiek „dziki”, tak również i bezwzględny impresjonista artystyczny nie poczuwa się do żadnej odpowiedzialności. On tylko „tworzy”

lub „odtwarza”; wzbudza tak w sobie samym, jako też w czytelniku, słuchaczu i widzu pewien „nastrój”; każe wcielać się w „bohaterów”, przeżywać sytuacje. No, a że tam przy-tym to odtwarzanie „nastrojów”, to wcielanie się w rozbestwionych okrutników, w roznamiętnionych gwałcicieli i t. p. może rozspołecznić, rozindywidualizowywać, o to się ani wielki artysta, ani też jego bezwzględny wielbiciel troszczyć nie potrzebują. Sposób poznawania prawdy psychicznej i historycznej za pomocą artystycznego wzbudzania nastrojów i unaoczniającego sytuacje obrazowania najwszechstronnie porywa człowieka, każąc mu przeżywać to, co się działo, każąc mu ożywiać uczucia dawnych pokoleń i rozpalać w sobie samym dawno wygasłe wulkany namiętności i porywów. Naelektry-

zowany dreszczem tworzenia artystycznego, nawet najbardziej społeczny poeta zabarwiaswe utwory tym, w czym — może nawet całkiem bezwiednie, — lubuje się jego wyobraźnia. A nie ulega chyba żadnej wątpliwości, że znakomita większość tak gienjalnych, utalentowanych, zdolnych, jako też nie-gienjalnych, nie-utalentowanych i nie-zdolnych dwunogich samców, a nawet niekiedy i samic, czuje nieprzeparty pociąg do bujania w sferze zmysłowości, oraz „krwiożerczej lubieżności”, czy też „lubieżnej krwiożerczości”.

V.

Podobnie jak w dziedzinie porozumiewania się i obcowania językowego, tak też w dziedzinie obcowania artystycznego widzimy przede wszystkim dwa krańce, dwa bieguny: czynnego artystę i biernego odbiorcę wrażeń artystycznych (widza, słuchacza, czytelnika). Tak na jednym, jak na drugim krańcu trudną do osiągnięcia jest pobudliwość i wrażliwość jedynie artystyczna, z zupełnym nieodzywaniem się innych wzruszeń i dreszczów, wywoływanych już przez samą psychofizyczną organizację człowieka. Sam artysta, tworzący dzieło sztuki, wciela się prawdopodobnie w swoich „bohaterów”, odczuwa ich nastroje, doznaje przypisywanych im wzruszeń i namiętności. Nie mogę przypuścić, ażeby, — czy to w zakresie sztuk plastycznych, czy też w zakresie twórczości poetycko-powieściopisarskiej, — przy malowaniu scen krwiożerczo-lubieżnych była możliwą ich czysto artystyczna kontemplacja. Przeciwnie zdaje mi się, że nawet uprzywilejowani wybrańcy muz, artyści i wieszczowie, doświadczają

w chwili tworzenia dreszczy okrutniczo-lubieżnych, a rozkoszując się odtwarzaniem przez siebie obrazami, grzebiąc zaciekle w tym, co rozpala wyobraźnię, wzbudzają nastrój

odpowiedni nie tylko w czytelniku lub widzu, ale także w samych sobie. Pomimo to możliwym jest wypadek, że prawdziwi wirtuozi, grający na nerwach konsumenta ich wytworów, sami w chwili twórczości nie doznają żadnych wzruszeń tego rodzaju. Oni na zimno rozpalają wyobraźnię, rozstrajają nerwy, osłabiają wolę i — co za tym idzie, — „demoralizują” i krzewią zdziczenie. Uwagi powyższe są czysto ogólnego charakteru i nie mierzą specjalnie w żadnego pisarza. Co zaś do Żeromskiego, to jest on naturą zanadto głęboką, subtelną i współczującą, ażeby można go było posądzać o kreślenie na zimno płomiennych obrazów. Na drugim krańcu obcowania artystycznego staje człowiek zbiorowy, stają całe zastępy rozmaitego kalibru biernych konsumentów dzieł sztuki. Są to wszystko ludzie z nerwami, z wyobraźnią i z rozmaicie ustopnionymi właściwościami fizjologicznymi i psychicznymi. Przy poddawaniu się wpływowi dzieł sztuki i wywoływaniu w sobie odpowiednich nastrojów i obrazów niepodobna chyba ograniczyć

się samą tylko wyobraźnią estetyczną, boć przecie, — jak już zauważyłem, — ta wyobraźnia estetyczna pozostaje w ścisłym i nierozzerwalnym związku z całym organizmem psychiczno-fizycznym człowieka. Nie przeczę, że w całej tej masie zwykłych konsumentów pokarmu artystycznego może się

znaleźć nieliczną garstkę duchów wyższych, prawdziwych
wybrańców losu i kapłanów sztuki
bezwzględnej. Właściwe tym arystokratom ducha napięcie
estetyczne może być tak potężne,
że dostatecznie opancerza ich przed wpływami prądów nie-
estetycznych, towarzyszących
wrażeniom estetycznym. Dla tej wykwintnej dziatwy Apollina
jedynym hasłem jest i
pozostaje: „pereat mundus, fiat ars” (niech zginie świat, byle
się działa sztuka); podobnie jak
fanatycy sprawiedliwości kierują się hasłem „pereat mundus,
fiat justitia” (niech zginie świat,
byle się działa sprawiedliwość. Tylko że to ostatnie można,
zgodnie z wymaganiami
prawdziwej sprawiedliwości, przekształcić na „fiat justitia, ne
pereat mundus” (niechaj się
dzieje sprawiedliwość, ażeby świat nie zaginął), gdy
tymczasem podobne przekształcenie
hasła fanatyków sztuki na „fiat ars, ne pereat mundus” jakoś
dziwnieby wyglądało.
Ale podobni esteci z bożej łaski, ubez-

płciowiem poniekąd świętym ogniem sztuki, należą do
rzadkich wyjątków. Bo już o
spotykanych nierównie częściej rozestetyzowanych i
rozhisteryzowanych smakoszach sztuki,
spożywających pokarm estetyczny, nadziany erotyzmem i
krwiożerczością, nie da się
powiedzieć, iż doświadczają przytym wrażeń jedynie
estetycznych, bez skalania wyobraźni,

bez zdenerwowania i bez rozstroju władz umysłowych. Przeważną zaś liczbę czytelników stanowią zastępy zwykłych śmiertelników płci obojga a rozmaitych wieków i o rozmaitej skali wrażliwości na podniety krwiożerczo-lubieżne. Ci szeregowcy rzeczypospolitej piśmienniczo-artystycznej, o ile nie są albo istotami od natury intelektualnie bezpłciowemi, albo też szambelanami sułtana i tradycyjnymi śpiewakami kapelli Sykstyńskiej, — posiadają przedewszystkim zwykłą wrażliwość psychiczno-fizjologiczną i przy odtwarzaniu scen erotycznych i lubieżno-krwiożerczych, napotykanym chociażby nawet w pierwszorzędnym arcydziełach sztuki i literatury, doznają nie tyle rozkoszy estetycznych, ile raczej odpowiednich owym scenom wrażeń, oddziaływających szkodliwie na ich zdrowie i na ich stronę etyczną. Artystę i esteta przekupuje i ubezwładnia świetność i gienjalność obrazowania, właści-

wego danemu utworowi; na wpływ zaś fizjologiczny i psychiczny, rozplamienający wyobraźnię, denerwujący, osłabiający wolę i odporność, zamyka on oczy, uszy i wszystkie inne zmysły. Entuzjazm dla wielkich artystów i poetów robi z nich dla niejednego krytyka nietykalne bożyszczce i przeszkadza widzieć w nich jakąkolwiek skazę. Wszelka próba

chłodnej krytyki, wszelka próba zastanowienia się i spojrzenia na dzieło czy też arcydzieło sztuki z innego, nie wyłącznie estetycznego, stanowiska, wydaje się entuzjaście świętokradztwem.

Nie należąc do entuzjastów, a za to cierpiąc na chroniczny brak estetyzmu, pozwałam sobie profanować zuchwale dzieła sztuki przez zastosowanie do nich miary higienicznej i etycznej.

VI.

Nie wdając się wcale w roztrząsanie kwestji, czy możliwą jest wogóle, nawet u wybrańców muz, czysto artystyczna kontemplacja obrazów, kąpiących erotyzmem i krwiożerczością, bronię przed olśniewającym blaskiem artyzmu nie owych nielicznych arystokratów ducha, ale ogromne zastępy maluczkich duchem, do których w dziedzinie artyzmu sam zawsze należałem i należę.

Na maluczkich dzieła sztuki, jako dzieła sztuki, działa słabiej, ale za to wszechstronniej, t. j.

wywiera ono na nich wpływ nie-tylko stroną artystyczną, ale — i to może przeważnie —

wszelkimi innemi stronami fizjologiczno-psychicznemi.

Jednostronny artysta podpali miasto, ażeby się lubować wspaniałym widokiem pożaru;

osobnik ubogi duchem pamięta przedewszystkim o nieszczęściach i łzach ludzkich, jakie ta

uczta artystyczna wyciska. Niedościęły w swym estetyzmie kapłan sztuki rozkoszuje się

bombardowaniem i szturmem twierdzy, gdyż dają mu one wielkie zadowolenie este-

tyczne; pogardzanemu przez estetów „filistrowi” przychodzi przedewszystkim na myśl związana z temi widokami nędza ludzka, a to uniemożliwia mu wszelką rozkosz estetyczną. I otóż ten sam „filister” pozwala sobie twierdzić, że odtwarzanie w sztuce obrazów „lubieżno-krwiożerczych”, chociażby nawet najwspanialsze i najartystyczniejsze, działa na ludzi zwykłych szkodliwie, gdyż tak czy inaczej oswaja ich z ohydą moralną. A im większy artysta, tym silniejsze wrażenie, tym potężniejszy wpływ. Tak więc dla wielu bardzo czytelników z literatury tego rodzaju mogą powstawać pod względem higienicznym i etycznym dotkliwe szkody; gdyż albo popycha ona do odpowiednich czynów, osłabiając „wolę” i samokrytykę; albo, w najlepszym razie, opanowuje wyobraźnię i zużywa energję myślenia, odwracając je od analizy rozumowej, a zmuszając do niemej kontemplacji wszczepionych w duszę obrazów lubieżnych i krwiożerczych. A jeżeli przeżywanie w wyobraźni scen krwiożerczo-lubieżnych, oraz wcielanie się w „nastroje” bestji potwornych jest jadem i trucizną dla nerwów, i to jadem gorszym może od opajania się za pomocą opjum, ha-

szyszu lub gorzałki, jeżeli barwne szczegóły tego rodzaju
mogą rozpałać i porywać w sferę
erotyzmu i krwiożerczości wyobraźnię nawet ludzi starszych,
— nie mówiąc już o młodzieży,
o podrostkach i podlotkach, to mamy chyba prawo, nie
pociągając wcale wielkiego artysty do
jakiegokolwiek bądź odpowiedzialności, zastanowić się
przynajmniej uważnie i zanalizować
wszechstronny wpływ jego utworów.
Napoleonowie i inni „twórcy dziejów powszechnych”
urządzają rzezie i orgje żołdactwa w
rzeczywistości, a panowie powieściopisarze w fantazji. Skutek
jednakże jest ten sam: i tu i
tam — zdziczenie, bądź to przemijające i chwilowe, bądź też
stopniowo się utrwalające.
Przecież na stronę psychiczną człowieka nawet rzeczywistość
działa tylko o tyle, o ile ją sobie
wyobrażamy. Czy kto sam widział, jak rozpruwają brzuchy,
gniotą klatki piersiowe,
odrzynają piersi kobiece, duszą, wieszają, kłóją bagnietami,
gwałcą i t. d. i t. d., czy też tylko
czytał plastyczne opisy tych wszystkich „czynów
bohaterskich”, to prawie na jedno
wychodzi. Człowiek wciela się chwilowo w okrutnika, we
wściekłą bestję, we wszetecznika,
w gwałciciela, jednym słowem w „bohatera” znęcającego się i
tępią-

cego, odczuwa z nim razem, uplastycznia sobie jego czyny i
uczucia, a to z konieczności

pozostawia ślad i usposabia do odtwarzania za pomocą wyobraźni tych samych wrażeń i obrazów. Powtarzanie wrażeń potęguje je, a drogi nerwowe, drogi psychofizyczne, po których przebiegają odpowiednie prądy wrażliwości dośrodkowej, oraz wyładowują się w kierunku odśrodkowym chuci i namiętności, wydoskonalają się; następnie, wskutek ścisłego związku wyobraźni ze stroną fizjologiczną pewnych funkcji życiowych, potężnieją objawy, osłabiające organizm, przeciwdziałanie tym objawom ze strony świadomości coraz bardziej słabnie, słabnie też i niedołączniecej tak zwana wola, a w ostatecznym rezultacie preparowany w ten sposób osobnik, przynajmniej w danym zakresie życia psychofizycznego, dziczeje. Jeżeli podobnym wpływem rozkładowym ulega jednostka nieco podnioślejszego umysłu i z dążeniami wyższymi, idealnymi, pociąga to za sobą rozterkę duchową i rozdwojenie, a w razie ich poprzedniego istnienia znakomicie je wzmacnia i potęguje. Wiem, że to ohydne, niesprawiedliwe, nikczemne, potępiam to, walczę całą siłą rozumowania i poczucia sprawiedliwości, właściwego człowiekowi

oświeconemu i logicznie myślącemu, a pomimo to wyobraźnia i nerwy ciągną mnie w inną stronę, pchają po równi pochyłej, dopóki nie stoczę się na dno, a ocucenie się na dnie staje się powodem „wyrzutów sumienia” i zgryzot, czasami wprost nie do zniesienia. To też natury

wyższe i szlachetniejsze, a ze słabą wolą, nie mogąc znieść podobnej rozterki wewnętrznej, kończą niekiedy samobójstwem.

VII.

Istnieją ludzie, czy to do tyła naiwni, czy też tak optymistycznie usposobieni, że im się zdaje, iż artystyczne obrazy okrucieństw wojny powinny odstraszać, odstręczać i obrzydzać wojnę, a malowanie scen lubieżnych napawać wstrętem do dzikiego erotyzmu. A więc pokazywanie obrazków pornograficznych, przechowywanych w tak zwanym piekle (enfer) Biblioteki nacjonalnej w Paryżu, powinno być najlepszym środkiem pedagogicznym do podtrzymywania skromności wychowawców i napełniania ich wstrętem do wszelkiego rodzaju wszeteczeństw. A może dla tym skuteczniejszego oddziaływania i dla wzbudzania tym większego wstrętu należałoby pokazywać sceny z życia rzeczywistego: „patrz kochanku, jakie to szkaradne i ohydne”. — „Tak, istotnie, bardzo to może ohydne, ale ja jednak oczu od tego oderwać nie mogę, ale mię to rozpala, roznamiętnia i ciągnie ku sobie”.

A zresztą przypatrzmy się z różnych stron odnośnej psychologii.

Czyż można uważać widowisko walki by-

ków za środek, odstręczający od znęcania się nad zwierzętami? Przecież jestto jedna z najulubieńszych zabaw szlachetnego narodu hiszpańskiego, nietylko zwykłego motłochu, ale także elity towarzyskiej, elity tak pod względem umysłowości, jako też pod względem stanowiska, zajmowanego w hierarchji społecznej. Niechby tylko rząd hiszpański zabronił tego narodowego igrzyska, a z pewnością wybuchła by ogólna rewolucja, bo te krwiożercze bestje półwyspu Iberyjskiego muszą paść oczyma widokiem koni z rozplatanymi brzuchami i byków, torturowanych z subtelnością i wyrafinowaniem. Cyrki rzymskie, w których przelewano krew i męczono nietylko zwierzęta, ale także ludzi, jakoteż torturowania heretyków przez obrońców kościoła wojującego, chyba nie rozwijały w widzach współczucia dla cierpień bliźniego i nie oddalały ich od stanu dzikości. A jakąż jest psychologia jatek ludzkich, zwanych wojną? Ten, kto sam brał udział choćby tylko w jednej bitwie, a tymbardziej w kilku bitwach, nie zraża się wcale do „rycerskiego rzemiosła”, ale, przeciwnie, zaprawia się w nim, hartuje się i zżywa się z legalnym mordowaniem „bliźnich” i z innymi okrucieństwami, „prawem dozwolonemu. Tylko na wyjątkowe

jednostki wojna działa odstrasżająco. A z jakąż to chciwością czytamy my, „inteligenci”,

opisy bitew wogóle, a cóż dopiero opisy bitew artystyczne i wspaniałe, nie daleko szukając, opisy bitew choćby w „Popiołach” Żeromskiego! A skromny wykonawca sprawiedliwości, „słusznie zwany” katem, przecież jeżeli nie jest złoczyńcą z „bożej łaski”, chybać w początkach swego szlachetnego zawodu tylko z pewnym wstrętem i obrzydzeniem oddziela głowy od kadłubów, zakłada stryczek na szyję i wogóle dokonywa różnych operacji nad ludzkimi ciałami, oddanymi na ofiarę „bogom sprawiedliwości”. Nietylko zresztą kat; nie ulega wątpliwości, że nawet rzeźnik, nie będący okrutnikiem z urodzenia, doświadcza z początku podobnych uczuć, co i kat. Później jednak obaj zespalają się ze swym rzemiosłem i wykonywają je z zadowoleniem i „przekonaniem”. Powtarzanie wrażeń, związanych ze spełnianiem „obowiązków” swego zawodu, obudzą i potęguje drzemiące w duszach tych funkcjonariuszów dzikie instynkta, odziedziczone po odległych przodkach. Sędziemu, podpisującemu po raz pierwszy wyrok śmierci, zadrga z pewnością ręka, jeżeli oczywiście nie jest okrutnikiem i krwio-

żercą z natury; ale później, po pewnym czasie, idzie mu to jak z płatka. Ce nest que le bremier pas qui coute.

Podobnie oswaja się ze zbrodniami ten, kto sam ich nie wykonywa, ale tylko bierze w nich

udział przez imaginację, t. j. kto wciela się wyobraźnią w „bohaterów” zbrodni, uplastycznianych ręką artysty lub poety. Oczywiście tedy malowanie artystyczne zbrodni nikogo od niej nie odstręcza, podobnie jak nie odstręcza od niej widowisko realne czynów zbrodniczych. Co więcej, dziś chyba tylko bezdenna naiwność lub też zakorzeniałe doktrynerstwo przypuszczają jeszcze, że może odstraszać od zbrodni widok lub też opis artystyczny kary, za „zbrodnię” ponoszonej. Lat temu trzydzieści mniej więcej, podczas wielkiego jarmarku w Niżnim Nowgorodzie, grasowały tam w sposób zatrważający rzezimieszki. Ówczesny generał-gubernator Niżniego Nowgorodu, Baranów, chcąc wykorzenić to zło, zaprowadził stan wojenny i oddawał schwytych na gorącym uczynku rzezimieszków pod sąd wojenny, który, „ze względu na bezpieczeństwo publiczne” i „dla przykładu”, skazywał podsądnych na śmierć. Wyrok wykonywano nie zwlekając; rzezimieszka wie-

szano lub też rozstrzeliwano, a po świeżym jego grobie, tuż na miejscu kaźni wykopanym i mieszczącym zwłoki pacjenta, przechodziło wojsko z muzyką i z wesołymi pieśniami. Było to obliczone oczywiście na odstraszenie rzezimieszków. Ale jak na to odpowiadali sami rzezimieszkowie? Oto na to bezpłatne a pikantne widowisko zbierała się masa niezliczona

gawiedzi wszelkich stanów i stopni rozwoju umysłowego, a zapatrzona w procedurę „wykonywania sprawiedliwości”, nie spostrzegając, jak koledzy wieszanego lub też rozstrzeliwanego opróżniali jej kieszenie. Chwila wykonywania kary za „zbrodnię” dawała najlepszą sposobność do popełniania „zbrodni” w spotęgowanych rozmiarach. Podobne widowiska czynów lubieżnych i okrutnych, a więc rozmaitych „zbrodni”, rozmaitych „aktów sprawiedliwości i zadosyć-uczynienia”, rozmaitych wybuchów zemsty, nienawiści i „miłości”, roztaczają przed naszymi oczyma nasi zdolni, utalentowani, może nawet „gienjalni” powieściopisarze. Jakże to plastyczne! jakim to „drga życiem i prawdą”!

Istotnie, drga to życiem i prawdą, chociażby tylko prawdą artystyczną, aleć jeszcze większym życiem i prawdą drgają czy to widoki prawdziwych okrucieństw, czy też sceny brutalnie

erotyczne, pokazywane podobno za pieniądze miłośnikom „przyrody żywej” i „prawdy realnej” w umyślnie w tym celu urządzanych zakładach niektórych stolic europejskich. Na wyobraźnię obie „prawdy”, tak „prawda życiowa”, jakoteż „prawda artystyczna”, działają prawie jednakowo.

Doskonałą ilustrację potęgi „nastroju”, pchającego do odpowiednich czynów, podały niegdyś

„Fliegende Blätter”. Nauczyciel elementarny, „poważny i doświadczony pedagog”, oćwiczył niemiłosiernie jednego z wychowawców za jakąś drobną swawolę. Ochłonawszy z oburzenia, poczuł zgryzoty sumienia i postanowił przeprosić publicznie, w obecności całej klasy, niesprawiedliwie „ukaranego” malca. Na drugi dzień tedy zwrócił się doń z odpowiednią przemową i zaczął wyklądać przebieg sprawy w porządku chronologicznym. Kiedy zaś doszedł do opisu swawoli, która go tak wczoraj oburzyła, wpadł w ten sam „nastrój” wojowniczy i przy słowach „dokazywałeś, swawoliłeś, byłeś nieposłuszny”, schwycił powtórnie biednego delikwenta i powtórnie wymierzył mu plagi, zapomniawszy zupełnie o swym szlachetnym postanowieniu. Podobnie dzieje się nieraz z opisującymi szczegółowo swoje „grzechy” w celu pokuty

i zadosyćuczynienia. „Nastrój” odpowiedni może opanować tak spowiadającego się, jak i spowiednika,
I oto we wspaniałej powieści historycznej w wyższym stylu mamy przed sobą spowiedź powszechną człowieka zbiorowego, spowiedź, która powinnaby wywołać tylko żal za grzechy i szczerze postanowienie więcej nie grzeszenia. Ale że spowiedzi tej towarzyszy wskrzeszanie obrazów „grzechu” w całej ich okrutnej i porywającej świetności, więc ta iskra

gienjalnej twórczości dostaje się do zbiornika materiałów
wybuchowych natury ludzkiej.
Jestto smutna a nieunikniona fatalność bezwzględnej
twórczości artystycznej. Nieraz
powtarzano zdanie, oparte na całym szeregu spostrzeżeń, że
poeta i artysta wogóle
przypomina pod wielu względami człowieka „dzikiego”. Nie
dziw więc, że jego twórczość
może współdziałać z dziczeniem.
W porywających prawdą artystyczną utworach
pierwszorzędного pisarza mogą być sceny i
obrazy, tak dzikie i wstrząsające, do tego stopnia brudzące i
kalające wyobraźnię, tak wysoce
denerwujące, tak potężnie oddziaływające nawet pod
względem fizjologicznym, do tego
stopnia, z jednej strony, osłabiające wolę, z drugiej zaś
wydoskonala-

jące drogi prądów lubieżno-krwiożerczych, że trzeba je
uważać za wielką krzywdę,
wyrządzoną spokojowi i zdrowiu, nie tylko psychicznemu, ale
także fizycznemu, czytelników.
Dotyczy to zwłaszcza powieści, drukowanych kawałkami w
dziennikach i tygodnikach.
Czytelnik narzuca się na urywek, pomieszczony w tylko co
otrzymanym numerze, czyta go z
zapartym oddechem, pochłania od jednego rozmachu i
doświadcza No, to już zależy od
treści świetnych obrazów, w które wypada mu się wpatrywać.
Jeżeli będą to obrazy np. ze

zdobywania Saragossy, to czytelnik, a może nawet i
czytelniczka, doświadczy skutków
bardzo niepożądanych, oczywiście niepożądanych tylko w
takim razie, jeżeli przywiążemy
jakikolwiek znaczenie do równowagi umysłowej, do spokoju,
do zdrowia, do czystości
wyobraźni.

Zwracając uwagę na te poboczne skutki bezwzględnej
„prawdy artystycznej” u bieguna
odbiorczego w łańcuchu obcowania literacko-artystycznego,
nie uwłaczam bynajmniej ani
potędze twórczej Żeromskiego i jemu podobnych, ani też ich
zasługom obywatelskim na
innych polach.

Oswobodziwszy się od hipnotyzującego uroku poezji,
stosując do utworu artystycznego
pedantyczne wymagania trzeźwej krytyki historycznej, mamy
prawo zapytać:

Co, oprócz rozkiełznanej i rozwydrzonej wyobraźni,
upoważnia panów powieściopisarzy do
roztaczania przed czytelnikami tych wszystkich szczegółów
rzezi i pastwienia się, z
dokładnym umiejscowieniem, z nazwami ulic, domów,
klasztorów i t. d. ? Czy mają na to
jakie wiarogodne dane? Z jakiego źródła czerpią materiał dla
swych urojeń artystycznych?
Czy opisano gdziekolwiek te wszystkie poszczególne
rozpruwania brzuchów, wyrzucania
starszych kobiet przez okno, a poniewierania młodszych, i t. d.
i t. d. ? Czy którykolwiek ze

zbydlęconych uczestników tych orgji i rozpasania mógł
zapamiętać szczegóły dokonanych
„czynów bohaterskich” ze ścisłością, konieczną do tego, ażeby
opierać na nich wiarogodną,
choćby nawet całkiem wymyśloną i wysoce artystyczną,
opowieść?
W kalejdoskopie szczegółów ohydnej rzezi

Saragossy dostrzegamy jedynie prawdopodobieństwo, a
prawdopodobieństwo nie daje
nikomu, a więc nawet najgienialniejszemu artyście, prawa do
zanieczyszczania wyobraźni
czytelników. A zresztą nawet najzupełniejsza prawdziwość
faktyczna tego rodzaju
szczegółów upoważniałaby jedynie do ściśle opisowego ich
zestawienia i do czynienia na tej
podstawie wniosków naukowych: psychicznych,
psychiatrycznych, socjologicznych i t. d. Od
nadużywania zaś podobnego materiału do mimowolnego
krzewienia zdziczenia wara panom
powieściopisarzom, choćby nawet najpierszorzędniejszym.
Taki np. autor „Popiołów” całą potęgą swego niepospolitego
talentu wymyśla długą litanję
okropności, od których włosy na głowie powstają, gwoli
estetyce gromadzi je i grupuje w
odpowiedni sposób, wzbudzając przez to albo w samym sobie
i w czytelniku, albo też tylko w
czytelniku nastrój lubieżno-krwiożerczy o bardzo wysokim
napięciu.
Inaczej traktował swe zadanie artystyczne w stosunku do
okropności wojny nowelista rosyjski

Oarszyn. Jego twórczość w tej dziedzinie istotnie otrzeźwia ludzi, marzących o „bohaterstwach” i o „umieraniu za ojczyznę”, a otrzeźwia bez wzbudzania „nastro-

jów” niepożądanych. Estetyzm może na tym traci, ale korzyści etyczne pozwalają z lichwą powetować tę stratę. Jestto wprawdzie pogardzane przez estetów zanieczyszczanie sztuki obcemi jej tendencjami, ale ja pomimo to pozwalam sobie przyznać się otwarcie do tej herezji.

Autor „Popiołów” z właściwym sobie mistrzostwem kreśli wspaniałe obrazy „czynów bohaterskich”, dokonywanych przez hordy najezdnicze w Hiszpanji, hordy, między którymi były także zastępy „obrońców ojczyzny” i „obrońców wolności” znad Wisły, Niemna i Warty. Ci „obrońcy ojczyzny” ćwiartowali i miażdżyli Hiszpanów, również „broniących ojczyzny”. Ci „obrońcy wolności” nietylko dusili wolność obywatelską mieszkańców półwyspu Pirenejskiego, ale poniewierali w najbezpieczniejszy sposób najelementarniejszą godność ludzką tamtejszych mężczyzn i kobiet. Wszystko to wyziera z obrazów Żeromskiego z przerażającą jasnością. A stąd przy odrobinie logiki i dobrej woli otrzymujemy między

innymi następujące wnioski:

) że wielki wódz tych hord umundurowanych, ów opiewany przez Mickiewicza i tylu innych poetów „bóg wojny”, ów „bohater legendarny”, ów Napoleon Wielki, przemieniając tysiące ludzi w krwiożercze i wszeteczne bestje, w młoty, druzgocące „bli-

źnich” na miazgę, był zbrodniarzem w tej potędze i potworem moralnym, tak samo jak i inni jemu podobni kanibale i niszczyciele;

) że „wojsko polskie” było zdolne do takich samych „czynów bohaterskich”, jak i wszelkie inne „wojsko” pod każdym stopniem szerokości i długości geograficznej;

) że nie należy znów tak bardzo oburzać się na rozmaite „rzezie” przysłowiowe, jeżeli własni „rodacy” i przedstawiciele „de la grrranae nation” urządzali daleko okropniejszą rzeź Saragossy;

) że mamy nierównie mniejsze prawo do potępiania Turków, znęcających się nad mężczyznami, kobietami i dziećmi Macedonji, jeżeli szanowni „rodacy” w jeszcze bezpieczniejszy sposób postępowali z mężczyznami, kobietami i dziećmi Hiszpanji;

) jednym słowem, że wszelka wojna eksterminacyjna, chociażby nawet prowadzona przez własne rodzone wojsko, może wzbudzać tylko grozę, wstręt i obrzydzenie.

Że jednak powstawaniu w głowie podobnych wniosków
towarzyszy skalanie wyobraźni,
wywoływanie dzikiego nastroju krwiożerczo-lubieżnego i
wogóle cofnięcie się
człowieczeństwa do stanu przedludzkiego, więc

owe wnioski otrzeźwiający zbyt drogo są opłacane.
A zresztą sama fatalność twórczości artystycznej przeszkadza
utrwalaniu się podobnych
wniosków. Nie można powiedzieć, że autor nie uświadamia
sobie tych konsekwencji
logicznych. Być może, iż nawet zgodziłby się na nie. Ale, jako
powieściopisarz-poeta,
traktuje on swoje zadanie wyłącznie artystycznie. Pod
imponującym wpływem wspaniałych i
uroczych obrazów „bohaterstwa” na polu walki i odczuwania
„podniosłych nastrojów” owe
ujemne wnioski i refleksje etyczno-polityczne powlekają się
mgłą i prawie znikają bez śladu.
A choćby nawet ślad z nich pozostał, to jednak nie ośmielamy
się wypowiadać je jasno i
otwarcie, bo przede wszystkim stoi temu na przeszkodzie
mimowiedne i mimowolne
apoteozowanie wojny i jej „boga”.

X

Gdyby ktoś sprotokółował sucho i urzędowo opisywane w
„Popiołach „czyny bohaterskie”
wojska polskiego i francuskiego, gdyby nazywał wszystko po
imieniu, gdyby nawet używał

brutalnych nazw dokonywanych przez zdobywców czynności fizjologicznych, to tym swoim suchym i bezbarwnym opisem wielu by odstręczył, a mógłby działać podniecająco tylko na nieliczną garstkę, i to zapewne w bardzo słabym stopniu. Jednakże przeciwko podobnemu traktowaniu tematu protestowalibyśmy energicznie; my bowiem pragniemy przytym użycia wszystkich świetnych barw, jakimi rozporządza twórcza wyobraźnia artysty, i roztaczania przed czytelnikiem opisu, wspaniałego i rozpalającego,... no, a że jednocześnie denerwującego i szkodliwego dla zdrowia wielu maluczkich, to już mniejsza z tym. Nazywanie rzeczy po imieniu bywa często poczytywane za grzech i wykroczenie przeciw przyzwoitości. Przecież właściwa pewnym mężom uczonym „skromność” każe im wy-

rzucać wstydliwie ze słowników wszelkie „wyrazy nieprzyzwoite”. Przecież w towarzystwie osób „dobrze wychowanych” nie mówi się wcale ani o spodniach, ani o świniach, ani o bykach i ogierach. Jeżeli jednak przychodzi pierwszorzędnny powieściopisarz i z całą siłą swego talentu roztacza przed wami wspaniałe i drgające życiem obrazy, wobec których błędą nietylko spodnie, nietylko świnię, nietylko byki i ogiery, ale nawet wszelkie wyrazy jak „najnieprzyzwoitsze”, to wszystko jest w porządku i nikogo nie razi. A przecież jestto

sfera wyobrażeń, w której nawet mniej utalentowany może „porywać” i wywoływać „nastrój”; a cóż dopiero mówić o koryfeuszach literatury opowiadawczej!

XI

Zapewne nie wszystkim wiadomo, że tak zwane nieprzyzwoite objawy twórczości ludowej, — tj. piosnki wszeteczne, bajki, zagadki, przysłowia i t. p., w których bądź to wchodzi w grę pewne ukryte części ciała, bądź też znajduje upust brutalny erotyzm bez obsłonek, — bywają zapisywane i wydawane p. t. „Kryptadia” w osobnych zbiorach z egzemplarzami numerowanymi dla amatorów i badaczy psychiki i twórczości ludowej. Otóż ja nie miałbym nic przeciwko temu, ażeby pewne części utworów powieściowych, w których ich autorowie z wielką siłą i mistrzostwem kreślą obrazy z dziedziny wyładowującego się erotyzmu, w związku z napięciem do ostatecznych granic krwiożerczością, drukowano osobno, w egzemplarzach numerowanych, jako nadzwyczaj cenny materiał dla psychologów, dla psychiatrów, dla estetyków i historyków literatury. Oczywiście i ci badacze musieliby żyć się do tyła z odbieranymi wrażeniami podniecającymi, ażeby być w stanie traktować je obiektywnie i analizować je

z całym spokojem i rozważą. Wprawdzie odpadłaby wtedy zwykła utylizacja ekonomiczna tego rodzaju twórczości, jak również odpadłoby parę listków z wieńca sławy, oplatającego skronie powieściopisarza. W każdym jednak razie, jeżeli stosunkowo niewinne piosnki figurują w Kryptadiach literatury ludowej, to pewne sceny i obrazy z utworów powieściopisarzy i belletrystów mogłyby być prawdziwą ozdobą Kryptadów literatury narodowej i wszechświatowej. Zgoda zresztą na pozostawianie ustępów, wzbudzających nastrojów lubieżno-krwiożerczy, w wydaniach książkowych danej powieści. Przy czytaniu książki wrażenie jednostronne od podobnych ustępów zaciera się poniekąd przez wpływ tego, co je poprzedza i co po nich następuje. Ale jeżeli jeden, dwa, trzy... numera gazety lub tygodnika są wypełnione wyłącznie takimi ustępami z drukującej się powieści, jeżeli odebrane w ten sposób wrażenia dają materiał do przeżuwania myśłą w ciągu całych tygodni, to to, według mego zdania, równa się zamachowi na zdrowie i spokój czytelników. A ile to w tym obłudy, jeżeli podobną metodę praktykuje czasopismo „prawowierne”, chcące uchodzić za „czytelnię domową i rodzinną”!

No, ale pamiętajmy

przecież, że tak tu, jak i gdzieindziej, rozstrzygają przede wszystkim względy ekonomiczne.

A trudno przecież wymagać, ażeby względy egoistyczno-pięniężne ustępowały przed
względami altruistyczno-społecznymi. I chociaż fanatyczni
zwolennicy absolutnej wolności
sztuki protestują przeciwko jej krępowaniu i zanieczyszczeniu
użytecznością i
tendencjonalnością, to jednak okazuje się, że ten właśnie
najzwyklejszy użyteczny bywa z
konieczności decydującym czynnikiem w urzeczywistnianiu
twórczości literackiej i
artystycznej i jej uprzywilejowaniu czytelnikom przeważnej
liczby wydawnictw periodycznych.

Wypisując te, niestety, arcy-nieudolne rozpamiętywania, nie
powoduję się wcale pruderią
(pruderią bowiem jest mi całkiem obcą), nie nawołuję do
askezy. Przeciwnie, jestem tego
zdania, że askeza religijna czyli ascetyzm pochodzi z tego
samego źródła psychicznego, co
erotyzm i krwiożerczość. Ja tylko konstatuje, że „literatura”
czy też „sztuka” (co kto woli)
może iść ręką w rękę z pewnymi instytucjami, związanymi z
życiem stadowym ludzi, i do
spółki z temi instytucjami krzewić zdziwienie lub też tylko
kontynuować pierwotną,
wrodzoną dzikość ludzkości.
Wniosków praktycznych nie wyciągam żadnych i na nikogo
nie chcę oddziaływać, ale tylko,
stwierdzając fakt niezaprzeczony, zapytuję:
Na co się zda cała walka z onanizmem, z wyuzdaniem
młodzieży i starszych, z prostytutką,

z zamachami na cześć kobiecą, jeżeli

rozwielniona poezja i beletrystyka, wchłaniana gorączkowo, a rozpalająca wyobraźnię i podniecająca nerwy, pcha do tego wszystkiego z całą siłą i rozpędem nieuniknionej fatalności i... krzewi zdziczenie?

Streszczam swój pogląd na wpływ literatury i sztuki lubieżno-krwiożerczej, na usposobienie i bezwiedne, mimowolne myślenie ludzi czytających i oglądających.

Przedstawianie halucacji artystycznych z zakresu erotyki daleko posuniętej, oraz z zakresu namacalnych objawów „miłości bliźniego”, bądź to za pomocą środków sztuki plastycznej, bądź też przez ujmowanie ich w obrazach, wzbudzanych dzięki procesowi skojarzeń czyli asocjacji językowych, wywołuje częstokroć takie samo, a niekiedy nawet o wiele potężniejsze wrażenie, aniżeli sam widok zdarzeń i scen rzeczywistych. Wpływ dzieła czy też arcydzieła prawdziwego artysty może być daleko skuteczniejszy, aniżeli wpływ, z jednej strony, nagiej natury, z drugiej zaś, grubej pornografji lub też suchego opowiadania o czynach ludożerczych i morderczych. Gruba pornografja i suche opowiadanie mogą odpychać swą brutalnością i na-

gościa i budzić wstręt w istotach subtelniejszych, czulszych i wrażliwszych.

Dreszcz nerwowy, upojenie i wogóle „nastrój”, wywoływany dziełami sztuki, poruszającej

tego rodzaju tematy, bardzo jest podobny do upojenia i „nastroju”, wzbudzanego za pomocą alkoholu, opjum, haszyszu i t. d.

Czy zaś upijamy się „siwuchą” w rynsztoku lub szynku, czy też szampanem w wykwinnym

otoczeniu, to zupełnie wszystko jedno. Stopień upojenia zależy od ilości pochłoniętego

alkoholu. A nawet pozwalam sobie twierdzić, że na ogół szampan jest o wiele szkodliwszy,

aniżeli prosta gorzalka. Szampan ma pewien urok „poetyczny”, pociąga ku sobie nawet dusze

„wyższe” i „podniosłe”. Szampanem chętnie upijają się nawet wykwinne damy, wystrojone i

od zewnątrz i od wewnątrz z nieskazitelną wytwornością, te same damy, które od szynku i

rynsztoku odwróca się ze wstrętem, obrzydzeniem i pogardą.

A to, co ma urok, co wprawia w błogostan i „nerwy” i „duszę”, to również pociąga ku sobie z

taką niepowstrzymaną siłą, że nie jest mu w stanie przeciwdziałać chociażby najgłębsze i

najbardziej uzasadnione przekonanie o jego bezwzględnej szkodliwości. Wiadomo

przecież, że niektórzy lekarze, do-

skonale zaznajomieni ze zgubnym wpływem środków podbudzających, nietylko że palą namiętnie, upijają się i t. d., ale także morfinizują się, przygotowując sobie przedwczesne stopienie umysłu, przedwczesną starość i przedwczesną śmierć. Wiadomo również, że wielu uczonych i ludzi „wyższych umysłowo”, pomimo głębokiego przekonania o niesprawiedliwości społecznej i nieetyczności tak zwanej rozpusty, uprawiają jednak ten sport z wielką gorliwością, a pędzi ich ku temu pewnego rodzaju ciekawość i żądza odnawiania rozkosznych wrażeń i „nastrojów”. I wogóle potrzeba powtarzania wrażeń lubieżno-krwiożerczych jest potężnym czynnikiem społecznym, a raczej przeciwsocjalnym, czynnikiem, współdziałającym bujnemu rozkwitowi i rozpanoszeniu się zdekadencja zezgniłoszenia i zdziczenia. Stądto między nami tylu dzikich, za nic nie będących wstanie oprzeć się choćby najlżejszemu pociągowi do odtwarzania w sobie w ten lub ów sposób wrażeń i „nastrojów” wprowadzie przyjemnych, ale zgubnych i niszczących organizm psychofizyczny człowieka.

Wydaje się z pewnością niejednemu wielkim zuchwalstwem, że ja, zwykły karzeł i pigmej, pozwalam sobie porywać się na olbrzymów literatury, poezji i sztuki, pomawiając ich o

zgubny wpływ na czytelników i widzów. Istotnie zgrzeszyłem; biję się więc pokornie w piersi, powtarzam „moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina” i zapytuję: Czyż wobec wspaniałości i imponującej piękności pożaru nie powinny się wydać karlemi i ze stanowiska „estetyki” wysoce naganami wszelkie usiłowania, skierowane ku jego tłumieniu? Czyż wobec olbrzymiego wrażenia i poetycznej soczystości powodzi należy zaniechać karlich wysiłków, dążących do stawiania jej tam, a nawet do jej absolutnego uniemożliwienia? A nareszcie czyż nie napełniają nas „estetyczną” zgrozą i czyż nie dają nam wielkiego

zadowolenia „estetycznego” masowe rzezie, ścierania się tłumów z tłumami, wybuchy lawy nienawiści międzystadowej z „wulkanów społecznych”? I czyż zadowolenie estetyczne od podobnych zjawisk powinno nam wystarczyć, czyż powinniśmy dać sobie pokój i wyrzec się wszelkich prób oddziaływania na jednostki, w celu uniemożliwienia albo przynajmniej znacznego osłabienia tych „majestatycznych objawów” gromadnie urzeczywistnianej „miłości bliźniego”?